Nro 11.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 18 maja 1844. Rok piąty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 4 maja 1844.

Stroje damskie. W przeszłym numerze dziennika wspomnieliśmy już, że trzy dnie tegorocznego *Longchamps*, były tak świetne jak nigdy, słońcem wiosennem, ciepłem ożywczem, i strojami mniej może licznemi, ale tem cudowniejszemi, bo wszystkie były wytworne, wszystkie świeże, pełne różnorodnego wdzięku. Chcąc należycie schwytać właściwy charakter owej sławnej, że się tak wyrażę, europejskiej trzydniówki, nie o liczbę strojów pytać trzeba, ani też szukać owych szat ceremonialnych, bo *Longchamps* nie jest przechadzką uroczystoreligijną; każdy i każda ubierają się gwoli własnej, ale gwoli zupełnej wytworności, bo nie ślepo naśladowniczej, ale lekkiej, ulotnej, ledwie schwytanej, a zawsze uroczej. Świat modny nie stroi się tam naumyślnie, i właśnie dla tego wzory mód są tam najprawdziwsze, bo się tam zdybują osoby, które codzień się dobrze ubierają. I nigdy jak tego roku wymysły strojne nie były tak rozmaite; ta wymyślna rozmaitość coraz więcej niszczy dezpotyzm mody, obwarowanej dotąd granicą takzwanego wszechwładnego zwyczaju; ów zwyczaj był ongi prawem, często tyranem ślepym, bezwzględnym, a nieraz śmiesznym i nieprzebłaganym; dziś każdy ubiera się jak chce, ale używając wolnej woli swojej jest razem za skutki onej odpowiedzialny, azatym nie na modę, nie na zwyczaj składać może, jeżeli jest zle ubrany.

W takim składzie rzeczy, opisanie szczegółów trudniejsze niż dawniej, i dla tego rzuciwszy kilka słow ogólnej teorii, przelotnie dotkniemy tylko kilku szczegółów wystających, z tej rozmaitością zachwycającej mozaiki strojów. Ostatnia godzina mantylek już podobno wybiła; ostatni cios zadały im rańtuchy z wyłogami; a rańtuchów rodzaje są nieprzeliczone; nic świeższego, nic piękniejszego nad rańtuch z materii jedwabnej kameleonowej ze szlakiem stosownej barwy, czyli ten jest rurkowany *à la vieille*, czy w wolanciki mniejsze lub większe, czyli też okryty tarlataną tak przezroczystą, iż cudowniej jeszcze przez nią przebijają łamania się materii pryzmatyczne. Kapotki walczą o pierwszeństwo z kapeluszami, a osobliwie jeżeli to jest kapotka z krepy białej, albo krepy *Dahlia* marszczona, lub zakładana, otoczona czy girlandą z kwiatów wiośnianych, czy uwieńczona kwiatem *Janus*, kwiatem dzisiaj nad kwiaty. Co się tycze sukień pracownia *Brunel* i *Leymerie* odznacza się utworami pełnemi wdzięku. Jednym z takich jest suknia do przechadzki, z materii jedwabnej o trzech odcieniach która to materia jest nowym rodzajem materii kamaleonowych; stanik płaski, nieco ku szyi podwyższony; rękawy obcisłe, otwarte spodem po grecku, z pod których wypływają spodnie rękawy bufowane z tarlatany, spięte przy samym ręku i obcisnięte rulonikiem drobnym jakby łańcuszkiem. Spodnice ubierają się najwięcej wolantami wielkiemi pojedynczo rozsypanemi, a jeżeli są małe, rozrzucają się jeden nad drugim w mnogiej dosyć liczbie. Niemniej do sukień strojniejszych używają staników marszczonych, do których należy kanzu obszyty korunkami; na dole spodnicy garnirowanie w kształcie bajaderek. Równie piękna była suknia z pekinu w odcienia zielone, i wiszniowe garnirowana na przodzie podwójnym wyłożeniem w kształcie fartuszka; stanik ze szpicem, i trzema zakładkami, które kończą się na ramieniu w postaci wyłogów, a na plecach tworzą rodzaj peleryny. Materie najwięcej używane są bareże, balzaryny i fulary indyjskie.

Rycina przedstawia: suknię z fularu szkockiego z stanikiem wysokim, stanik i rękawy bufkami ubrane; kapelusz jedwabny z kwiatami; tudzież suknię z białej krepy, z tuniką śrebrnemi sznureczkami naszytą; stanik u przodu marszczony, głowa w plecionki ubrana; trzecia figura przedstawia amazonkę z półsukienka w przodzie sznureczkami naszytą; stanik z klapami, czapeczka kastrowa, i żupanik z przodu szemerowany.

Stroje męskie. W strojach męskich mało zmian widzieliśmy. Twedy ledwie tu i owdzie pojawiają się, ale natomiast używane są paletoty czyli płaszcze hiszpańskie (pierwszy wzór pochodzi istotnie z Hiszpani); jestto płaszcz okrągły z jedwabnej materii, z szerokiemi rękawami weneckiemi, wyszywany bogato tasiemkami, i podszyty materią jedwabną w jaskrawe odcienia. W ogóle fraki są zapinane *à la française*. Kamizelki ze stojącym kołnierzem i guzikami aż do góry idącemi; a surduty wierzchnie rodzaju, który trudno odszczególnić; jestto coś w rodzaju angielskim, coś szerokiego, wygodnego, które ma niby stan za długi, w pasie jest za szerokie; jednym słowem cała kibić wydaje się jakby jednym rzutem wylana, a sprawia iż nasze eleganty niczem już dzisiaj nie różnią się między sobą: jeden wygląda jak drugi. Barwy najwięcej używane do fraków i surdutów są, czarny, złotobronzowy, zielonobronzowy, i najrzadszy bo najjaśniejszy odcień barwy zielonej.

Figura męska przedstawia: Twinę i surdut o jednym rzędzie guzików.

Odwidziny w domu szalonych.

Dokończenie.

W sąsiednim państwie niszcząca wszystko wybuchła zaraza, której głównego powodu a przeto i leczenia jeszcze nie doszli. Widziano wszelako iż jak wszelka zaraza ze wschodu pochodzi. Rząd tamtejszy prosił za tem naszego, o kilku zdatnych i odważnych młodych lekarzy, którzy by z wysłanymi ztamtąd do Azii się udali, a po odbytej wyprawie z sowitą nagrodą i zbogaceni doświadczeniem, do ojczyzny wrócili. Winien byłem poleceniom profesora H* i mojej pilności zaszczyt iż w gronie lekarzy przeznaczonych do tej podróży umieszczony zostałem. Czyż mogłem tak zaszczytne nie przyjąć wezwanie? Cożby powiedział świat, ojciec, i kochanka, coż me własne przekonanie, gdybym, nieczyniąc zadość memu powołaniu, zamiast na nieubłaganą natrzyć śmierć, ukrywał się bojaźliwie w moim siedlisku, miasto zbierać odważnie zwycięzkie wawrzyny, poprzestawał na mircie swobodnie otrzymanym. Z tym wszystkim dręczyło mnie jakieś złowieszcze przeczucie, rozstałem się z Zdzisławem z ciężkim serca żalem; napisałem list pożegnawczy do ojca i kochanki z prośbą by mi donosili jak najczęściej o sobie; Zdzisław przyrzekł mi toż samo, i tak drogą porzucając ojczyznę, puściłem się w dalekie i nieznane mi strony.

Podróż najdłużej rok trwać miała. Rozmaite wszelako przeszkody, spózniały powrót od wszystkich upragniony. W walce z zarazą, z nieprzyjaźnemi zamiarami krajowców i z rozlicznemi innemi trudami, przetrwaliśmy ośmnaście ciężkich miesięcy. Prócz jednego listu od Zdzisława, w którym mi donosił iż opuszcza wszechnicę i wstępuję do wojska, żadnych wieści nie miałem z ukochanej ojczyzny.

Powróciliśmy na reszcie do ziemi ojczystej. Pożegnałem moich towarzyszów wyprawy a miotany obawą i nadzieją, do ojczystej zbliżałem się strzechy. Zniszczone pola, rozwalone budynki, spustoszałe wsie dowodziły iż jędza wojny tamtędy ciągnęła. Nieprzezwyciężona trwoga zwiększała się we mnie przy każdym kroku. Stanąłem wreszcie przed domem ojcowskim, nie wyszedł nikt na moje przyjęcie, lecę na schody, nagle drzwi otwieram, a z bladą jak śmierć twarzą, z załamanemi rękami, Grzegorz wierny sługa mojego ojca, dalszą zastępuje mi drogę... Silną odtrącam go ręką... w padam... i widzę... o stwórco przedwieczny... widzę ojca walczącego z śmiercią w kole sług obcych, obojętnie przygotowaniami do pogrzebu zajętych.

Dosyć jeszcze miałem przytomności, by do ocucenia konającego, całej mej użyć sztuki. Udało mi się... podniósł się. Raz jeszcze przed zupełnym zgaśnięciem, zabłysło życia światło.... Poznał mnie... scisnął mą rękę z widocznym wysileniem, chciał coś przemówić, lecz język już drętwiał, wreszcie zawołał z największym sił ostatnich natężeniem: Ratuj Wandę... przeklęty... sto razy... przeklęty... Obignard.... Chciał jeszcze coś mówić lecz nadaremnie... krótkie lecz okropne nastąpiło konanie... już żyć przestał.... Zmysły mnie opuściły... padłem bez duszy....

Aż na zajutrz odzyskałem me zmysły. Czuwający przy mnie Grzegorz następne mi opowiedział zdarzenia:

W kilka miesięcy po moim wyjeździe, wypadła poblizko, krwawa utarczka, nieprzyjaciel zwyciężył. Okrótni zwycięzcy pozwalali sobie wszystkie bezprawia. Równie jak u drugich i u ojca mojego kilku umieszczono officerów. Jeden z nich nadzwyczajnie przypodobać się umiał, swym grzecznym i ujmującym obejściem. Uwiedziony tym mój ojciec, uważał go jak

przyjaciela domu swojego. Zachowując się naocznie jak najskromniej, pałał potajemnie występnym ogniem ku Wandzie. Wykrył jej wreszcie swoje życzenia. Zasłużoną od niej odepchnięty wzgardą, nędzny umyślił zgubić tę, którą inaczej posiadać nie mógł. Poddał jej napój, prawdziwy piekieł wynalazek. Aż za nadto udała się zdrada. Bezprzytomna sile oprzeć się niemogła. Na chwilę tylko przyszła do siebie... ponura ją rospacz opanowała. Wykrywszy niesłychaną zbrodnię memu ojcu zginęła w okropnych konwulsiach. Niegodny zabójca uszedł.... Mój ojciec już od tej chwili łóżka nieopuścił, dopóki się na wieczny nie przeniósł spoczynek. Imie tego potworu... Obignard... Zrozumiałem teraz ostatnie słowa konającego. Ojcze, zawołałem przysięgam ci na twe święte popioły, zemstę, najokropniejszą zemstę. Gdzie moja Wanda wrzasnąłem, gdzie... gdzie... ja ją od śmierci wyrwę... wszakżem lekarz... tylem uratował ludzi... dla czegożbym ją ocalić niezdołał.... Nie mogli się oprzeć moim naleganiom, otworzyli mi drzwi... pokój był czarnym kirem wybity... na dwóch katafalkach dwa ciała leżały... Wanda do niepoznania zmienioną była.... Padłem bez życia.... Gdym się ocknął, ziemia już swoją pokryła zdobycz... Stary Grzegorz rzekł z płaczem do mnie: Ostatnie jej słowa były imie pańskie i prożba byś nie rospaczał i inną uszczęśliwił.

Na te słowa gorzko się rozśmiałem... tylko jeden obowiązek na świecie miałem: zemstę nad zabójcą ojca i kochanki.

Spieniężyłem prędko cały mój majątek, a poodprawiawszy sowicie obdarzone sługi, żądzą zemsty wiedziony sąsiednie zwiedzałem kraje, by wynaleść potwora, który całe me zniszczył szczęście.

Nie jedną tym sposobem zwiedziłem okolicę. Unikałem starannie ludzi, dla tego uchyliłem się zupełnie od powołania mojego jak lekarz; nie cieszyłem się już żadną nadzieją na tym świecie, wszystko na zawsze wydarła mi przyszłość! W tym usposobieniu przyjechałem pewnego wieczora do K*. Gadatliwy gospodarz hotelu, do którego zajechałem, pytał mnie między innymi, czy chcę wieczerzać w mej stancii, czy przy stole gościnnym; zachwalał mi oraz dobrane towarzystwo, dodając iż kilku obcych officerów przy nim znajdować się będą.

Zapytałem jakby tknięty przeczuciem o ich imiona. Najpierwsze które wymienił, było... Obignard.

Błogosławiłem przeznaczeniu, które mi ułatwiało, jedyny cel życzeń moich zemstę. Pozbawiwszy się jak najprędzej natrętnego gospodarza, ukryłem miecz obosieczny pod płaszczem, i oczekiwałem w ciemnym zakątku dziedzińca na nienawistnego, któren spełniając wesoło szumiące puhary, bynajmniej nie myślał o czekającej go zemście.

Trzy godzin minęły w okropnym oczekiwaniu, duchy ojca i kochanki otaczali mnie, słowa umierającego ojca, piorunem grzmiały w mych uszach. Obignarda godzina już wybiła.... Straszliwa Nemezis czekała na swoją ofiarę. W tym usłyszałem męskie kroki, jeden tytko wyszedł oficer; słyszałem jak drudzy wołali: dobranoc ei Obignard, z dobytym w ręku mieczem piorunującym zawołałem głosem: stój łotrze... wybiła godzina twej kary. Wściekle natarłem na niego, ledwie zdołał swym mieczem się zasłonić, mój w piersiach jego utonął. Spełniwszy zemstę drogim cieniom przysiężoną, czułem iż wolniej oddycham.

Niebespieczeństwo mego położenia, zwiększało się z każdą chwilą. Przypomniałem sobie w tej chwili natychmiast Zdzisława; postanowiłem się schronić do niego, tkliwa ręka sczerej przyjaźni, miała zagoić rany zbolałego serca.

Piekło usłyszało moje życzenia, spełniło je z szatańskim pospiechem. Xiężyc dotychczas w obłokach ukryty, zajaśniał śrebrnym blaskiem i okropne oświecił widowisko.

Machinalnie nachyliłem się do leżącego bez duszy u nóg moich i ujrzałem... o piekielne widmo... ujrzałem... Zdzisława... straciłem przytomność... co zemną się stało... niepamiętam.

Przyszedłszy do siebie, ujrzałem się w pokoju mocno zakratowanym i łóżkami zastawionym. Twarze złowieszcze, zbrodnią piętnowane, szyderczo spoglądały na mnie. Stróż przy łóżku moim siedzący wyjawił mi wszystko. Znaleziono mnie obok zamordowanego oficera, z mieczem zakrwawionym w ręku. Zaniesli mnie do szpitalu przeznaczonego zbrodniarzóm by potem mnie oddać karzącemu sądowi.

Zwyciężyła moja siła młodzieńcza, pomimo moich najgorętszych modłów. Stanąłem przed sądem badawczym. Chcąc koniecznie zakończyć obmierzłe mi życie o żadnej niemyślałem obronie. Wreszcie wspomnienie na uczciwe me imie, spowodowało do wyznania sczerej prawdy. Opowiedziałem wszystko jak najdokładniej.

Sędzia mój człowiek pełen rozumu i czucia przypisał mój uczynek, skołatanemu nieszczęściami umysłowi, a nie chytrości zbójeckiej. Zaprowadzono mnie zatem tutaj, gdzie za szalonego uchodzić muszę, póki mnie opatrzność do lepszego życia nie powoła, i z moją drogą Wandą nie złączy.

Po tych słowach nieszczęśny powstał i uścisnąwszy mą rękę serdecznie, udał się powolnym krokiem

ku ponurym murom. Długo za nim patrzałem łzawym okiem, żałując szczerze mojej ciekawości, gdyż nigdy w mej pamięci nie zdołam zatrzeć, opowiadanie nieszczęsnego młodzieńca. *Henryk Borkowski.*

Śmierć róży i dziewicy.

Różę, dziewicę najsrożej śmierć boli,
Bo wprzód im urok niż życie odbiera;
Róża przynajmniej konając powoli,
Z oddechem woni najsłodszej umiera,
I żyje jeszcze gdy przy swoim skonie
W ostatni listek słodkie wciska wonie.

Dziewica płacząc serca i postaci,
Przed skonem jeszcze wonność życia traci,
A wysychając w uczuciach powoli.
Tym srożej cierpi, bo ją nic nieboli.
Aż stanie w końcu tak martwa, tak głucha,
Jak świat bez słońca, jak życie bez ducha.

Zwiędnąż, przepadnąż obie marnym kwiatem,
I nigdy, nigdzie, nic już niepowtórzy,
W świecie, za światem, pozainnym światem
Uczuć dziewicy, tchnienia wonnej róży?
O nie! tam kędy wiecznem gwiazd odbiciem,
Lśni struna, której anieli pieśń wtórzą
Gdzie łza nadzieją, a nadzieja życiem,
Tam się ich pieśni złączą i powtórzą,
I archanielskim przeciągając skrzydłem,
Na wieki boskim staną się kadzidłem.

Leon J.*

Uczta Elizejska

z Szyllera.

Wiążcie w wieniec złote kłosy
I bławatu modry liść;
Niech radośne biją głosy
Bo królowa ma tu wniść —
Co poskramia chęć zdobyczy
W towarzystwo spaja lud;
Gdzie stał namiot koczowniczy
Warowny utkwiła gród.

T r y g l o d i t a w gór osłonie
Ukrywał się w głębi jam,
Gdzie N o m a d a przeszły konie
Trawa już nie rosła tam.
Uzbrojony w spisy, strzały
Dziki strzelec krajem biegł,
Biada temu — kogo wały
Na obcy rzuciły brzeg.

C e r e s kraj ten gdy zwiedziła
Za dziecięciem bieżąc w ślad
Ziemia się nie zieleniła
Żaden ją niestroił kwiat.
I niebyło dachu zgoła
By gościnnie przyjął ją,
I niebyło tam kościoła
W którym ludzie bogów czczą.

Ni złotego kłosa ziarno,
Chleb podało na jej stół,
Przy ołtarzu ubran czarno
Wróż wnętrzności ludzkie pruł;
I gdzie ona przyjdzie w gości,
Wszędzie li spotyka głód.
I budzi ją do litości
Nieszczęśliwy człeczy ród.

Tu zwierzęce ma znamiona
Ten, co nosi obraz nasz,
A w Olimpie, rozkwitniona
Świeci jego piękna twarz.
Ziemie, bogów tę kolebę
W posiadanie dano mu;
Choć królewską ma siedzibę
A bez domu — błądzi — tu.

Czyliż niema już litości
Żaden w górnych sferach bóg?
I do szczęścia wysokości
Nie dzwignie tych nędzy sług?
I błądzącym w poniewierce
Nie wskaże niedoli kres?
Moje tylko dręczy serce
Widok ludzkich cierpień, łez....

By w człowieku człeka znano,
Trzeba mu się w węzeł wpleść
Z ziemią, matką swą kochaną,
Prawom bożym oddać cześć.
Z toczącym się czasu biegiem
Toczyć myśli swoje coraz
Gdy dnie płyną swym szeregiem
Z niemi gonić rączy czas.

I rozdziela swoją dłonią
Ciężkie, smutnej ziemi mgły;
Mgły opadłe, wraz odsłonią
Oczom ludzkim, postać jej;
Ucztujące dzikie zgraje
Pośród godów, ujrzą ją.
Tłuszcza czarę jej podaje
Czarę napełnioną krwią.

Lecz bogini pełna zgrozy
Odwróci swą słodką twarz;
Gdy cie gość nawiedzi boży
Tyż mu krwawą strawę dasz?
Takiej niechce on ofiary.
Raczej w dani jemu nieść
Pól jesiennych skromne dary.
A świętemu będzie cześć.

I skrwawiony miecz odbiera
Z dzikich koczownika rąk,
Ostrzem spisy wraz roztwiera
Bruzdę śród zdziczałych łąk.
Pełne ziarko wnet wyłuszcza
Z wieńca co jej zdobi włos,
Do bruzdeczki świeżej wpuszcza;
Ziarno pęka, rośnie w kłos.

Ślni zieloną się powłoką
Długi ziemi pustej pas,
Jak daleko sięgnie oko
Płynie złoty zboża las,
Błogosławiąc darek boży,
W snopek wiążę pierwszy kłos
Na ognisko kamień złoży,
Z ust bogini idzie głos:

Ty Jowiszu rządco świata
Nowy tutaj wschodzi kraj;
Jeślić miła, ta obiata,
Łaski swej oznakę daj,
Oto ludu ćma błędnego
Jeszcze on nie poznał cię,
Aby poznał boga swego,
Zdejm zrenicy ciemną mgłę.

Prożba bożej tej siostrzycy
Doszła do niebiańskich wrót,
Z e u s wypuszcza z swej prawicy
Z jasnym z błyskiem, huczny grzmot,
Z trzaskiem płomień się rozniecі
Już z ołtarza bije dym;
A z obłoków orzeł leci,
Skrzydłem go okrąża swym.

Lud poznaje swą boginię
Przednią na kolanach już,
A ludzkości czucie płynie
W łono dzikich dotąd dusz,
Umysł łamie swe okowy
Krwawą spisę rzuca precz;
W ucho ludu z ust królowej
Wchodzi świętej prawdy rzecz.

I z swojego tronu schodzi
Na ziemię wszelaki bóg;
Prawa Temis im przewodzi,
I w prowadza w ludzki próg,
Gdy na szali prawo zważy
I graniczny ciągnie szlak,
Wzywa Styxowych mocarzy
By własności strzegli znak.

Za nią niesie krok ochoczy
Jowisza rozumny syn
Co naczynia sztuką toczy,
Z brył kruszczowych, z żółtych glin,
I miech dmiący i kowadło
Wnosi w kuźni pierwszej próg.
Jego młotem pierwsze radło
I pierwszy wykuty pług.

I Minerwa, którą bogi
Jako wyższe bóstwo czczą;
Mowy głos podniesie srogi,
Olimp cały słucha ją.
Dla ludu mego ochrony
Wzniosę murem mocny gród.
By po świecie rozproszony
W jedną się rodzinę splótł.

I na niwy na rozłogi
Z niebieskich stępuje bram;
A gdzie ślad zostawi nogi,
Bóg graniczny utkwi tam,
I łańcuchem swem odmierza
Zielony pagórka brzeg,
I zamyka w ich wybrzeża
Bystre prądy dzikich rzek.

I te Nimfy, Oready
Cały Artemizy dwór,
Co za Panią bieżą w ślady
Gdy z dzirytem dąży w bór,
Wszystkie spieszą, rąk oklaskiem
Radość głoszą; a tu wraz
Pod toporem z szumem, trzaskiem
Kładzie się sosnowy las.

I z zielonej swojej wody
Bożek strojny wieńcem trzcin
Toczy tramy, toczy kłody
Na bogini swojej skin;
I już dziennych godzin pracą
Belki obnażone z kor,
I chropawe lica tracą
Snując z siebie wstążki wiór.

I bóg morza, zbrojne ramię
Swym trydentem niosąc tu,
Z rdzenia ziemi on wyłamie
Słup z twardego granitu,
Pchnięty dłonią, jakby procą
Potoczył się kamień z gór;
Hermes spieszy, swą pomocą
I warowny wstaje mur.

Już harmonię — bóg Apola
Budzi dźwiękiem złotych stron,
Z brzękiem, głosy się zespolą,
I brzmi melodijny ton.
Kameny się ozwą pieniem,
Na dźwięczny ich pieśni głos,
Kamień zbiega się z kamieniem
I brata się z ciosem cios.

Dłoń Cybeli bożej mamki
Drzwi zawiesza w wnętrzu bram,
W mocne je okuwa zamki,
I zamyka cały chram.
Dzieło boże zbudowane
Piękne dzieło bożych rąk;
Już świątyni stroi ścianę
Kwiat usczknięty z nowych łąk.

Bogów królowa się zbliża
W dłoni niosąc mirtu krzew,
Łagodnego widzi pasterza,
Przy najmilszej z krasnych dziew,
Skronie pierwszej, takiej pary
Wenus wieńczy w świeży w kwiat
Z bogów każdy swoje dary
Oblubieńcom niesie rad.

I za przewodnictwem bogów.
Przy odgłosie dźwięcznych dum
Do otwartych wchodzi progów
Nowego narodu tłum;
A kapłanką mu Cerera
Z czołem strojnym w złoty kłos,
Ręce wznosi i zabiera
Do gromadki taki głos:

Wolno buja zwierz pustyni
Wolny w niebie bogów chór
Bo natura żądz mistrzyni
Określa im życia tór,
Człowiek z człekiem niech się jedna
Wtowarzyski wchodzi stan
Cnotą swoją sobie zjedna
I swobodę, ziemi pan.

Wiążcie w wieniec złote kłosy
I bławatu modry liść,
Niech radośne biją głosy
Bo królowa ma tu wniść.
Z bratem połączyła brata,
Ojczysty nam dała gród,
Dobroczynnej matce świata
Niechaj hołdy składa lud.

A. G.

DWA NOWE DRAMATA
JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO.

I. **Panna mężatka;** komedia w trzech aktach. Nowa ta komedia prostym układem, prawdą charakterów, nadewszystko zaś prześliczną dykcią zaleca się. Rzecz cała odbywa się między czterma osobami z których bohatyrem sztuki jest Adolf, kawaler nie młody, starający się niby o rękę panny Cecylii, a nigdy niezdecydowany ztąd od prostodusznego majora nazwany Kunktatorem. Aby go raz do stanowczego kroku przywieść, musiano się udać do postępu i tu jest związek komedii. Panna Cecylia wróciwszy z podróży dalekiej udaje że jest mężatką, intryga idzie doskonale, uwierzył nawet ów stary przyjaciel domu, a szczerze życzliwy panience, major. Po niejakim czasie rzecz się wykrywa, nieobeszło się bez gniewu bo zanadto draśnięta miłość własna męszczyzn, wszystko jednak kończy się dobrze z zachwyceniem, widokiem przyszłego szczęścia swego, strony obojej. Jakże ujmujący swoją szlachetną otwartością jest ma-

jor, kiedy postrzegłszy nieprzyzwoite jak dla mężatki zachowanie się Cecylii względem Adolfa, wyrywają mu się z żołnierską rubasznością te słowa:

MAJOR i CECYLIA.

MAJOR *do siebie.*

Sacre-bleu! sam niewiem z jakiej beczki zacząć.

CECYLIA.

Jaki pan major grzeczny że z nami jeszcze został.

MAJOR.

Grzeczny niegrzeczny, pani dobrodziko!... a zostałem... tak, bo widzi pani zawsze i wiecznie grzeczny jest tylko mazgaj który nic nie widzi, i tchórz pani dobrodziko,który nie śmie nikomu prawdę powiedzieć. *na stronie* *Morbleu*! jakoś zawiązuje się.

CECYLIA.

Więc i pan major umie być niegrzecznym?

MAJOR.

Umiem do wszystkich diab.... to jest, tak jest pani dobrodziko umiem czasem, a szczególniej kiedy kogo z duszy kocham i kiedy widzę... *na stronie* a tu sęk, jakto powiedzić żeby nie przesolić.

CECYLIA.

Z tego zaczęcia sądzę, że to ja czemsić niepodobałam się, bom pewna że to mnie pan major tak z duszy kocha.

MAJOR.

Kogoż u diabła więcej kochałem i kocham jak panią, i dla tego zdaje mi się, że jeżeli co postrzegam takiego, coby być niepowinno, to mogę powiedzieć, choćbym się wydał cokolwiek niegrzecznym. W cudze sprawy pani dobrodziko ja się wtrącać nie lubię; ale co się pani tyczy tego nie uważam za cudze, bo pani wie, że wolałbym żeby mi druga kula koło nogi przeleciała, niż żeby coś mogło zmniejszyć szacunek... *na stronie* fe do diabła czy nie za wiele powiedziałem·

CECYLIA.

Ach mój boże! musiałam bardzo pobłądzić, kiedy pan major bierzesz to tak serio. Prędzej, prędzej czarno na białem, drogi majorze! nie obwijaj w bawełnę, po prostu jak twoje zacne serce czuje, powiedz wszystko; ja przyjmę wszystko jak od ojca *głaszcząc pod brodę.* No luby majoruniu krząknij mocno i potym *sacre bleu!* tnij słowa prawdy twojej faworycie.

MAJOR *na stronie.*

Porwała mi i poplątała wszystkie nitki.

CECYLIA.

No coż chciałeś pewiedzieć?

MAJOR *odkrząknąwszy.*

Otoż widzi pani co chciałem powiedzieć: chciałem powiedzieć, że kobieta zwłaszcza mężatka, powinna być bardzo ostrożna w swoich uprzejmościach dla mężczyzn. Bo teraz pani dobrodziko wiek zepsuty; terazniejsi mężczyzni pani dobrodziko są jak te źwierzęta którym pozwól grzędy, to oni zechcą wszędy. Każda grzeczność panny lub wdowy jest pani dobrodziko pożyczką, którą trzeba oddać i zapłacić pierścieniem i dlategoto mężczyzni ich unikają; a fawory mężatki pani dobrodziko są czystą darowizną która do niczego nie obowiązuje, i dlategoto pani dobrodziko młodzież zepsuta tak za niemi goni. A to *sacre-bleu!* kompromituje, zwłaszcza kiedy mąż o sto mil, pani dobrodziko *na stronie* zdaje się że wyraźnie i nienadto.

CECYLIA.

A jeżeli dalej panie majorze?

MAJOR.

Tem gorzej! tem gorzej pani dobrodziko! kiedy mąż blisko, to sam zagląda na prawo i na lewo żeby jaki przyjaciel nie zaszedł z boku. Ale kiedy puszcza żonę samę jednę w dalekie strony, znać że jej ufa, a ufność pani dobrodziko jest rzecz święta, której obrazić nie godzi się. *Cecylia spuszcza oczy i zasmuca się, major mówi łagodniej.* Tembardziej widzi pani, że z daleka i pozór równie kompromituje kobietę jak i sam występek, bo terazniejsi mężczyzni fanfarony, chwalą się tem czego niebyło. *Cecylia siada; i zakrywa sobie oczy chustką.* Ale co pani *na stronie* ej do diabła czy nie przesadziłem *głośno.* Pani dobrodziko... niech bo pani na mnie spojrzy. Pani wie że ja to mówię z przywiązania, z ostrożności. Ja wiem że pani masz rozum; ale widzi pani im dalej w las tem więcej drew; a języki ludzkie są jak kamienie młyńskie, najczystsze ziarno niech na nie upadnie to go zetrą na miazgę. Ależ proszęż tak niebrać słów moich do serca *na stronie.* To mi diabli na dali... *głośno.* No pani kochana, mogłem się pomylić *Cecylia płacze* fe droga pani! cożbo? *klęka* proszesz mi dać rączkę, na miłość boskę! *Cecylia daje mu rękę śmiejąc się* *Sacrebleu!* pani się śmiejesz? *chce powstać.*

CECYLIA *przytrzymuje.*

Prosze niewstawać kochany majorze! gdyby też nas kto tak zastał, coby pomyślał?

MAJOR.

A coż pomyślałby żem na starość ogłupiał do wszystkich diabłów.

CECYLIA.

Otoż uważaj drogi majorze jak pozory mylą. Teraz proszę wstać *major wstaje* tak! Teraz prosze usiąść tu, *major siada* tak!...

MAJOR.

Ależ pani robisz zemnie kozła i barana.

CECYLIA.

Tak być powinno drogi majorze. To jest w porządku naturalnym.

MAJOR.

Sliczny mi porządek! niema co mówić.

CECYLIA.

Nie przemienicie go panowie, dopóki będziem miały cokolwiek oleju w głowie. Ale dajmy temu pokój i pomówmy bez ogólników. Więc znajdujesz to nagannym drogi majorze żem się teraz więcej może niż kiedykolwiek podobała panu Adolfowi?

MAJOR.

Widzi pani, jeśli mam prawdę powiedzieć byłbym z tego kontent bo on na tę karę zasłużył. Ale chciał bym żeby się to stało bez przyczynienia pani; żeby ze strony pani niebyło... tak... widzi pani....

CECYLIA.

Koketerii? co?

MAJOR.

Jużto dobrzeby żeby i tego niebyło; chociaż tak troche rozumnej kokieterii niezawadzi. Ale ja *mort-bleu!* nie tego się boje.

CECYLIA.

A czegoż panie majorze?

MAJOR.

Żeby i on pani teraz więcej się niepodobał niż kiedykolwiek... itd.

Podobnie wyłożona jest cała osnowa sztuki; jeżeli co możnaby jej zarzucić to niedostatek poniekąd działania gdyż rzecz cała jak już namieniliśmy opiera się na małej intrydze między czterema osobami zawartej. Jakoż jest ta komedia mniejszego rozmiaru ale mimoto w zakresie swóim wykończona i zajmująca powszechnie.

II. **Okno na pierwszem piętrze**; dramacik w jednym akcie. Jednocześnie z komedią »Panna mężatka« otrzymaliśmy drugi utwor tego autora: »Okno na pierwszym piętrze« dramacik w jednym akcie. Treść jego nie jest nowa ale w jej przeprowadzeniu i rozwiązaniu jest pewien urok nowości, i jakkolwiek może nie wszystkim się podoba, zawsze jednak widać w nim myślącego i wyższemi widokami kierującego się pisarza. Hrabia, człowiek poczciwy i łagodnego charakteru, będąc już od lat siedmiu żonatym wybiera się w podróż kilkodniową i dość daleką. Na twarzy swej żony postrzega zamyślenie i niby smutek, a i kapitan, przyjaciel hrabiego, obecny ich rozłączeniu pokazuje zamyślenia oznaki, co wszystko hrabia na dobre sobie tłumaczy i pociesza jak może żonę rychłym swoim powrotem. W ciągu tego, zagadniony przez hrabiego kapitan o pożytku krótkiego rozłączenia się małżonków, przytacza jedną powiastkę Bulwera, o pewnym młodem małżeństwie które postanowiwszy żyć tylko dla siebie i zamknąwszy się na wsi, było rozczarowane w dziwny sposób: żonie zdawało się, iż mąż zyzowaty; a małżonek dostrzegł na twarzy żony jakieś brzydkie brodawki; sprowadzili tedy lekarza, a ten zamiast recepty kazał im się na rok cały rozłączyć. Zgrabnie przytoczona ta anekdota pozwala z lekka zajrzeć w serce kapitana: podróż hrabiego jest mu bardzo na rękę.

Jakoż niebawem dowiadujemy się, że między nim a hrabiną jest romans. Ostrzeżony o tem sam hrabia przez sługę jeszcze przed swoim odjazdem, układa plan zwyczajny w takich wypadkach, a mając serce żalem przepełnione nie może się wstrzymać przy pożegnaniu z żoną od lekkich i jakby ostrzegalnych wyrzutów. Niedaleko jeszcze była postąpiła miłość hrabiny, i ta mając grunt serca dobry, chwyta się całą resztą sił swych moralnych, skazówek danych jej przez męża, a gdy się w nocy u jej mieszkania pojawia odebraną mu zręcznie krucicą wstrzymuje go od przestąpienia jej proga. Hrabia tymczasem w pasiece opodal ode dworu czekał na zbliżającą się noc w której plan swój miał przywieść do skutku, i w ciągu tym wszedł w pogadankę ze starym swoim pasiecznikiem, który dla skrócenia mu czasu, przygody życia swego opowiadając dał mu w nich wielką praktyczną naukę i ostudził dużo krew, którą uniesiony mógł się był okrucieństwa dopuścić. Na dane przez wiernego sługę hasło wpada do swego domu, który już był otoczony strażą, tak iż się kapitan nie mógł wymknąć. Nieznalazłszy żony tak winną jak z razu myślał przestaje na ukaraniu kapitana tem, iż tenże musiał skoczyć z piątra przez okno, co się jakoś dość szczęśliwie i niepostrzeżenie odbyło. Sam zaś robi wszystko co może aby zmniejszyć i zatrzeć jeśli można wszelki pozór hańby, przy czem niemało wspaniałomyślności względem sług swoich pokazuje. Nareszcie dawszy żonie zasłużoną poniekąd nauczkę, jedna się z nią zupełnie.

PRZESĄDY.

powieść

ADAMA KŁOBUKOWSKIEGO.

Wśród licznego przechadzających się tłumu, zwolna postępował jasnowłosy dwudziestoletni mężczyzna po bulwarach w Paryżu. Na twarzy jego pięknej

wdziękiem młodości leżał jakiś odcień melancholii tem wybitniejszy, że w szafirowych jego oczach, błyszczących zwykle grą wesołości, mglą się teraz dwie półkrople łzy niedojrzałej. Strój jego wyszukany, gruby złoty łańcuch spływający po kaszmirowej kamizelce, i dwie brylantowe gwiazdki spinające białą jak śnieg koszulę, świadczą że jego smutek niepochodzi z krzywdy doznanej od losu. I wstydzić się zdaje swego smutku, bo dojrzawszy o podal zbliżającego się znajomego, rozjaśnić chce czoło, ale wzrok jego, jakżeby słońca promieniem olśniony, niezręcznie walczy z chęcią udania, i mimowolnie wyzwierciedla, rzeczy, wisty obraz duszy.

— Przemogła wreszcie twoja ciekawość Karolu! odezwał się przechodzący, wspomniano mi właśnie że dziś odwiedzałeś pannę Lenormand.

— Tak jest, i za pięć franków widzę przed sobą jak na talerzu horoskop swojej przyszłości, rzekł Karol z wymuszonym uśmiechem, a wiesz jaki jeszcze? oto powiedziała mi, że dotąd ziemia była mi rajem, ale w krótce życie się moje zachmurzy i przemknie jak błyskawica.

— Jakto;... chmura czy życie?

— Jedna i drugie zapewne.

— Tą razą przebacz mi wszechwiedząca Lenormand! ale haniebnie omylisz się w swej wróżbie, załoź się zemną Karolu! że jeszcze spełnię toast na twojem złotem weselu....

— Brawo! ha ha ha! tylko dotrzymaj słowa. Ale co do przepowiedni, wierz mi, że z niej żartuję, będzie ona jednak dla mnie probierczym kamieniem wszystkich czułych serduszek; nieszczęście ma przywileje, tam gdzie szczęśliwego odrzucą, może zlitują się nad tym, któremu przeznaczenie grozi. A łezkę widzieć płynącą dla siebie z czarownego oka ubóstwianej piękności, to więcej warto jak te pięć franków za które sobie przepowiednią kupiłem.

— O ja w łzach się niekocham Karolu, i zawsze wolę widzieć perłowe ząbki śmiejących się usteczek jak płaczem skrzywioną najładniejszą twarzyczkę; śmiech z resztą jest godłem wiosny życia. Niech żyje wesołość!...

I ścisnął rękę Karolowi, który tęskne rzucił spojrzenie na odchodzącego, i znowu został samotny wśród tłumu, zadumany i ciemny na to co go otacza. Złowroga przepowiednia wężem opletła się około jego duszy, jadem trucizny przeciekła do krwi w jego żyłach. Każde uderzenie pulsu zdawało mu sie szeptać słowa przeznaczenia, każda myśl coraz głębiej wbijała je w serce. Jeżeli młoda jego fantazia, mimowolnie rzuciła na tle duszy niewykończone rysy obrazu szczęścia, natychmiast kir grobowy przewionął po przed tym obrazem i zatarł, zaczernił całe tło złotych marzeń. W gronie przyjaciół, których mu jego znaczny majątek dostarczał, w pośród wesołych pogwarek i pustoty młodzieży Karol wydawał się jak głowa Meduzy wydrążona z alabastru, którą jeżeli ukrytą wewnątrz lampą oświecisz, przyjmuje barwy światła, czerwieni się, i rozpromienia ale niezmienia wyrazu bolu i zgrozy. Zdrowie jego, niemogąc się oprzeć szponom szarpiącej duszę zarazy, więdło, usychało po listku. Lekarze radzili mu rozrywki; odwiedzanie pięknej natury, poszukiwanie towarzystw, ale gdzież mógł znaleść rozrywkę, ten, któremu widok błękitu nieba błyszczał Baltazara głoskami, któremu każda doznana przyjemność, jeżeli jej mógł kiedy doznać, przypominała, że jest już może ostatnią, że te wesołe dźwięki sterujące dzisiaj skokami tańcu, jutro może nad jego trumną zabrzmią ponuro? Taką jest choroba fantazii!... A silnej olbrzymiej duszy ludzkiej dosyć jednego słowa, dosyć półcienia domysłu, aby wpaść na torturę dręczącej troski; i w chwilach kiedy urągać się zdaje nad przyrodzonym potęgom, jeden promyk skrytej przeznaczenia gwiazdy niszczy, karłowaci urojoną wielkość. Wesoły piękny młodzieniec stał się dzisiaj tylko pomnikiem dawniejszej swej istoty. Opuścił Paryż sądząc że oddalenie od miejsca w którem nierozsądne słowa, jego spokojność zabiły, uwolni go od upioru dręczącej myśli. Ale na próżno! gdziekolwiek się obrócił, na szczytach Alpów, wśród bałwanów rozkołysanego morza, w Westminsterze i Watykanie, wszędzie i zawsze szatańska przepowiednia szła jak cień za jego duszą. Czas sam niewiele cierpieniu jego ulgi przynosił, bo im więcej dni od chwili wróżby upłynęło, tem bliższym zdawał mu się kres jej spełnienia. Lecz jeszcze jedno: pozostało lekarstwo, lekarstwo ostatnie, ale rzadko bezskutecznie przez nieszczęśliwych użyte. Karol na łonie religii, jął szukać pociechy, i zwolna burza jego cierpień cichła, łagodniała, obojętniał na powaby życia, a śmierć traciła w jego przekonaniu straszną swoją postać. Przyszłość chociaż nie z tego świata, nabrała dla niego jakiegoś błogiego wdzięku. I znowu przepędził kilka miesięcy w spokojniejszej, cichej obojętności dla wszystkiego co jest doczesne, tylko kiedy niekiedy listy odebrane z rodzinnego kraju, obudzały w sercu jego tęsknotę, tem żywszą, im więcej zbliżała się chwila powrotu do domu, po długiej niebytności.

Dzień bożego narodzenia 1837 roku weselszem słońcem oświecił bogate salony pałacu państwa Z*, którym po długiej, niepokojącej przerwie, doręczono dzisiaj list od syna jedynaka, oznajmujący, po odbytej trzechletniej po Europie podróży, rychły jego powrót w rodzicielskie progi. Nie dziw że błoga ta wiadomość błyskawicą przebiegła po wszystkich salonach stolicy, bo uszczęśliwieni rodzice starali się pomyślność swoją z przyjaciołmi swemi podzielać. Jeszcze Karol nie wjechał w granice kraju, a już wszędzie mówiono o jego przybyciu, układano zabawy, zgadywano naprzód wojażera; żeniono go nawet, bo jego dwa miliony majątku, jakie miał po rodzicach odziedziczyć, zdawały się zapewniać, że mu szanowne przyjaciółki domu, nie dadzą długo wahać się w wyborze. I w istocie wyszukiwano świetne dla niego partie. Od dawna było lubem marzeniem jego matki; w drogiem swym dziecku widzieć połączone dwa wzajem sobie potrzebne ogniwa światowej wielkości, majątek z świetnością rodu.

Dokończenie nastąpi.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.